



Andrzej Sarwa

OPOWIEŚĆ O HALINIE,
CÓRCE PIOTRA Z KREPY

Armoryka

Andrzej Sarwa

Opowieść o Halinie, córce Piotra z Krępy

Andrzej Sarwa

Opowieść o Halinie, córcie Piotra z Krępy

średniowieczna legenda sandomierska

**Armoryka
SANDOMIERZ 2009**

Redaktor: Włóczysław (Włóczek) Kot
Projekt okładki: Juliusz Susak

Copyright © 2009 by Wydawnictwo
i Księgarnia Internetowa ARMORYKA

Wydawnictwo ARMORYKA
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
tel (0-15) 833 21 41
e-mail: wydawnictwo.armoryka@interia.pl
<http://www.armoryka.strefa.pl/>

ISBN 978-83-7639-037-6

Tatarzy

Zima roku 1260 nie nadchodziła długo. Drzewa i krzewy czarniawymi gałęzmi ostro rysowały się na tle białosinego nieboskłonu. Przymrozki, nocą ścinające kałuże kładące się pośrodku wąskich sandomierskich uliczek, uchodziły precz, gdy słońce mocniej przygrzewało. Lepkie błoto, z żółtego lesu powstałe, kleiło się do nóg przechodniów.

Aż oto ludzie z utęsknieniem wyglądający zimy doczekali się jej wreszcie. Któregoś ranka świat cały utonął w bieli. Dachy domostw, kościołów, zabudowań grodowych przykrywały puszyste czapy, nasunięte na oczy okiennych otworów.

Śród zasp wydeptano wąskie ścieżyny. Przechodnie uśmiechali się do siebie i z lubością wciągali w nozdrza rześkie, mroźne powietrze, a później wydychali obłoczki pary.

Świat poweselał, nową szatę przywdziawszy. Precz ująć miały choróbska, które się leżyły we mgle i wilgoci. Tylko żebracy markotnie spoglądali wkoło, bo oto na nich ciężki czas przychodził.

Z westchnieniem wspominali letnie upalne dni, gdy wylegiwali się na trawie u stóp rozłożystych lip, świętojackową ręką posadzonych, lub pod konarami prastarych, pogańskich dębów, rosnących u podnóża góry, na szczycie której kościół Panny Maryi połyskiwał białymi murami.

Za dnia kulili się w zimnych kruchtach świątynnych, wyciągając ręce pokrzywione niczym sękaty konary, jękliwymi głosami prosząc o jałmużnę. Gorsze były noce, gdy śnieg syпки chrząścił pod stopami, w dziurawe łapcie obutymi,

i iskrzył się w srebrnosinym poblasku księżyca, a mróz bez miłosierdzia kąsał uszy, policzki i palce.

Skoro zima już dobrze się rozsiała na sandomierskich wzgórzach, a Wisła stanęła powleczone grubą warstwą lodu, któregoś popołudnia, gdy zmierzch jął się rozpościerać nad miastem, powietrze szarzeć, a mróz tężeć, na drodze od Zawichostu idącej ujrzano konnego, który co sił bódł wierzchowca piętami i leciał ku Sandomierzowi niczym zamieć śnieżna.

Rozwarto na oścież bramę, którą już poczęto przymykać, a ów wpadłszy w nią galopem, zsunął się z konia na ziemię i ciężko łapiąc powietrze szeroko rozwartymi ustami, wychrypiał:

— Tatarzy idą... Lublin złupiony...

Opadł na kolana, a później zarył twarzą w miękkim, białym puchu.

Próżno go cucono, przeniósłszy do grodu. Olbrzymi wysiłek, pospołu z mroźnym powietrzem sprawiły, iż serce ściśnięte potężnym skurczem ustało.

Śród ludzi otaczających przybyłego zapadła cisza. Pogłądali na siebie, a niejednemu w oczach czaił się lęk.

— Boże, jeśli to prawda, co ów rzekł, cóż poczniemy?! Jak raz nie ma księcia w Sandomierzu, a nim da się mu znać, nim przybędzie z Krakowa, może już być po wszystkim.

I zgromadzeni pojęli, ile grozy się kryje w owym „po wszystkim”.

Ktoś drugi zawołał:

— Boże miłosierny! Miej litość nad nami!

— Nie kraczcie, nie kraczcie! Jeszcze nie ma Tatarów, a ponadto sporo nas tu zbrojnych. Gród silnie obwarowany, nie zdobędą go łatwo. Z miesiąc zabawią pod wałami, a tymczasem księżę przybędzie z odsieczą.

Słowa te wyrzekł rosły mężczyzna, o szerokich barach, przyodziany w bogate suknie i okryty płaszczem podbitym sobolowym futrem.

Mógł mieć około trzydziestu pięciu lat, nie więcej. Głowę trzymał prosto uniesioną ku górze. Jasne włosy w nieładzie opadały mu na ramiona, lecz nie wyglądało to niechlujnie. Gęsta broda o złotawym odcieniu miękko okalała twarz. Niebieskie oczy dobrotliwie spoglądały spod niedbale odgarniętej z czoła grzywki. Był to Piotr z Krępy, kasztelan sandomierski.

Na jego słowa chmurne dotąd oblicza, okalających zmarłego mężczyzn, poweselały nieco.

— Naprawdę myślisz, panie Piotrze, że wytrzymamy aż miesiąc? — zapytał jeden z obecnych.

— A dlaczego by nie? — odpowiedział pytaniem kasztelan. — Jak mówiłem, gród warowny, jedzenia i wody mamy pod dostatkiem, a chociaż rycerstwo z panem naszym, księciem Bolkiem, do Krakowa się udało, to przecież niemało nas zbrojnych, by wały obsadzić.

— O grodzie mówisz. Zgoda. A miasto? Co z miastem? Czy zostawisz tylu ludzi poganom na rzeź?

Owo pytanie ciężko zawisło w powietrzu. Mężczyźni pomarkotnieli znowu.

— Zapasów jest tyle, że i dla mieszczan starczy. Schroń się w grodzie — odpowiedział Krępa.

Ale zebrani kręcili głowami bez przekonania, a później jęli się rozchodzić do domów.

* * *

Na dworze zapadła głęboka noc. Ogromny, majestatyczny księżyc wypłynął zza widnokregu i zalał ziemię potokiem sinosrebrzystej poświaty.

Śnieg ostro chrząścił pod stopami kasztelana, a mróz kłół mu płatki uszu milionem igieł, osiadał szadzią na wąsach i brodzie, chwycił za palce u nóg. Krępa minął swój dom i wyszedłszy z obwałowań grodowych, skierował się na sąsiednie wzgórze, gdzie na tle ciemnego nieba ledwo majaczyły zwali-

stą, niekształtną masą zabudowania klasztorne i kościół świętego Jakuba.

Ciężko mu było wspinać się wyslizganą setkami stóp ścieżyną. Spojrzawszy w prawo, dostrzegł odcinające się czernią od wysrebrzonej księżycem bieli śnieżnego tła, dziesiątki krzyży cmentarnych wpodłe świętego Jana.

Straszno mu się zrobiło na ten widok, przypominający, iż taki nas wszystkich kres czeka. Straszno i smutno zarazem. Oto tu bowiem wśród licznych kopczyków żółtej ziemi była mogiła jego żony, która umarła wydając na świat córkę, Halinę, dzisiaj dwanaście lat już liczącą.

Coś dziwnie ścisnęło Krepe za gardło. Przetarł zwilgotniałe oczy połą płaszczą i schyliwszy się pod brzemieniem wspomnień jął piąć się ku górze jeszcze wolniej.

“— Tyle już lat, tyle lat, a on nigdy nie może myśleć o umarłej bez wzruszenia. Jedną ją kochał, a los niełaskawy zakazał mu się cieszyć tą miłością. Śmierć zabrała ją rychło, niespełna w dwa lata po ślubie”.

I od owej pory nigdy już Krepa nie spojrzał na żadną niewiastę. A przecież chętnych, by wydać się za młodego, bogatego kasztelana, było co niemiara. Próbowano go też wielokroć wyswatać, ale gdy odrzucał każdą kolejną propozycję, w końcu dano temu spokój, poczytując go za dziwaka.

Życie płynęło mu powoli, niczym Wisła, która — gdy żar letniego słońca wypije z niej wodę — toczy się leniwym nurtem wśród łąch szarego piachu.

Życie upływało mu na służbie publicznej i na wychowywaniu córki, poza którą świata nie widział. A ona odwzajemniała się temu, co jej był i ojcem, i matką pospołu, równie wielką miłością.

W miarę jak rosła, rosło też jej podobieństwo do zmarłej matki. Była drobna, szczupła, lecz żywa jak skierka. Długie, jedwabiste włosy kładły się jej niczym płaszcz z drogocennej materii na plecach, lub opadały ciężkim warkoczem, jeśli go akurat splotła piastunka.

Spod puszystej grzywki spoglądało dwoje oczu bystrych i wesołych o barwie rzadkiej u blondynek — nie niebieskich, jakby się spodziewać można było, lecz brązowych.

Na wspomnienie córki uśmiechnął się Krępa do siebie. Dotarł już w pobliże kościoła i teraz wszedłszy w mrok rzucały przez konary świętojackowych lip, na których leżały płyty śniegu, skierował się ku furcie klasztornej.

Pociągnął za sznur sygnaturki raz i drugi i wsparłszy się o ceglany mur cierpliwie czekał. Po długiej chwili dały się słyszeć stłumione śniegiem kroki, a później starczy głos zapytał:

— Kto tam?

— Otwórzcie, ojczy furtianie, to ja, Piotr z Krępy.

— Czego szukacie u nas, panie, po nocy?

— Z przeorem chcę mówić. W pilnej sprawie. Prowadź mnie do niego.

Zaskrzypiały nienasmarowane wrzeciędzie, furta uchyliła się tylko tyle, by mógł przez szparę prześlizgnąć się człowiek i gdy Krępa wszedł do wnętrza, z głuchym łoskotem się zatrzasnęła.

Szli ciemnymi krużgankami. Od płomienia łuczywa, którym furtian oświetlał drogę, pełgał krwawy poblask po ceglanych, surowych ścianach, kładąc drżące cienie w kątach i zakamarkach.

Powietrze przesycone było słodką wonią uschłych kwiatów, kadzidła i kurzu. Kamienna posadzka niosła echem po korytarzach kroki idących — prędkie klaskanie mniszych sandałów i ciężkie stąpanie kasztelana.

Po dłuższej chwili przystanęli u solidnych drzwi dębowych, wpuszczonych w równie solidne, murowane odrzwia. Starzec zakołatał raz i drugi, a gdy nie doczekał się odpowiedzi, wzięwszy za klamkę, pchnął je silnie i zajrzał do celi.

Uniósł łuczywo do góry, aż rozjaśniło się wnętrze. Było puste. Nienaruszone posłanie świadczyło, iż tego wieczora nikt na nim nie spoczywał.

— Nie ma ojca przeora. Pewnie jeszcze się modli w kościele — powiedział furtian.

— Więc chodźmy tam, ojczu.

— Ale czy można przeszkadzać w modlitwie, kasztelanie? — odrzekł mnich.

— Sprawa jest taka, iż nie tylko się godzi, a nawet potrzeba.

— Cóż to za sprawa, panie?

Krępa westchnął ciężko i odrzekł:

— Chciałem ci zaoszczędzić troski chociaż na tę noc jeszcze, ale widzę, że to się nie uda. Tatarzy idą na Sandomierz...

— Chryste Jezu! A w grodzie ni księcia, ni rycerzy! Cóż poczniesz, panie Piotrze?! Cóż poczniesz?!

Furtian nie zwlekał już. Jakby mu raptem lat ubyło, prawie biegnąc skręcił w korytarz wiodący do kościoła. Z tyłu za nim Krępa mógł ledwo nadążyć.

Wnętrze świątyni spowijał głęboki mrok, tylko przed *Sanctissimum* pełgał wąty płomyk kaganka prosząc w okrąg słabym żółtawym poblaskiem. W jego środku widać było kłęzącą postać ludzką w białej zakonnej sukni z czarnym płaszczem narzuconym na ramiona.

Krępa z furtianem przystanął tuż za modlącym się.

— Ojczu Sadoku — powiedział półgłosem kasztelan — chcę ci coś rzec. Coś bardzo ważnego.

Przeor powoli odwrócił głowę i bystrym spojrzeniem obrzucił mówiącego, a ujrawszy na jego twarzy skupienie i powagę, pojął, iż nie dla błażej przyczyny modły mu przerywa. Uczynił tedy na piersi szeroki znak krzyża i czym prędzej podźwignął się do góry.

— Chodźmy, panie Piotrze.

Skoro tylko znaleźli się w celi przeora i usiedli na twardej zydlach, Krępa widząc wyczekiwanie w oczach mnicha, rzekł:

— Tatarzy idą na Sandomierz...

Przeor ukrył twarz w dłoniach:

— Bądź nam miłościw, Boże. Bądź miłościw...

— Ojcie Sadoku, jutro, skoro świt, przeniesiecie się z braćmi do grodu. Cóż, ciasno nam będzie, bo i mieszczan musimy tam zmieścić, ale przecież się nie podusimy. Przyszło mi na myśl, żebyście na ten czas zamieszkali w grodowym kościółku świętego Mikołaja Cudotwórcy. Chyba się święty biskup Mir-Licejski nie pogniewa o to?

— Zapewne, zapewne... Oby jeszcze chciał u tronu Bożego wyblagać zmiłowanie dla

Sandomierza...

— Tedy budźcie mnichów, ojcie. Spakujcie, co macie cennego, i gdy tylko brzask wstanie, przybywajcie do grodu.

Podniósł się Krępa z zydlu, skłonił przed Sadokiem i wyszedł z celi. Za drzwiami czekał furtian, by wyprowadzić go z klasztoru.

* * *

Na dworze mróz się wzmógł, śnieg ostro chrząścił pod stopami. Gdzieś wśród zabudowań poszczekiwały psy, a gdy milkły, cisza niczym całun zawisała nad miastem i grodem. Bolesna cisza.

“— A co będzie, jeśli nie strzymamy?!”

“— A co będzie, jeśli księżę nie przybędzie na czas?”

“— Co będzie, co będzie, co będzie...”

Złe myśli krążyły w głowie Piotra, niczym gawrony krzące nad jesiennym rżyskiem. Odpędzał je precz, ale one — natrętne — wracały.

Nie o siebie się bał. Cóż, jemu wszystko jedno, Jego szczęście zgasło przed wieloma laty. Ot, żyje, bo żyje i tyle. Ale dzieci, niewiasty., nieobznajomione z wojną łyki. Halina!...

Nie śmiał nawet myśleć, jaki los ją czeka, gdyby gród nie strzymał natarcia.

— Jezu Chryste! — chwycił się za głowę i pobiegł, potykając się o przyczajone pod śniegiem grudy.

Gdy wszedł do swej izby, od progu uderzyła go fala gorąca. Zdjął wierzchnie odzienie i usiadł przy stole. Ale niepokój znów go porwał na nogi. Przebiegał izbę to w tę, to w drugą stronę, i myślał, myślał, czy nie znalazłoby się jakieś inne wyjście prócz obrony.

“— Poddać miasto.” — Ta myśl niczym pokusa szatańska nachodziła go, natrętna i uporczywa.

“— Poddać i co dalej? Chociaż Tatarzy oszczędzą mi życie w zamian, to przecież zażądają okupu. W złocie i w... ludziach. O to pierwsze, mniejsza. Ale ludzie, jakże zaprzedać tych, którzy mi zawierzyli, którzy we mnie upatrują obrońcy? Wszak jestem kasztelanem!”

I znów ów drugi głos odzywał się w jego czaszce:

“— Poddać miasto! Cóż mi ludzie?! Niech ich piekło pochłonie! Ja i Halina ocalejemy! Ona jeszcze taka mała. Życie przed nią. A może zabrać dziecko i uciec?”

Chwytał się za głowę, mocował sam ze sobą. Zachodził patrzeć na uspioną córkę. Ale gdy usłyszał pianie pierwszych kogutów, był już spokojny, chociaż nieludzko zmęczony.

Wszak był rycerzem i kasztelanem. Honor i obowiązek, wierność swemu księciu nakazywały mu jedno: bronić, póki tylko było to możliwe, wszystkich słabych, maluczkich i owego miasta, i owego grodu, który strzegł Polski, niczym groźny brytan, od napaści półdzikich sąsiadów ze Wschodu.

I chociaż często skatowany i prawie w agonii, zawsze wylizywał się z ran, by znów bronić mlekiem i miodem płynącego kraju, by znów przyjmować pierwsze ciosy, łagodzić impet uderzenia, dawać czas innym, by gotowali się do walki.

Niebo poszarzało nad widnokregiem, po kościołach jęły dudnić dzwony. Krępa przyodziawszy się ciepło miał już wyjść z domu, by sposobić gród do obrony, gdy nagle Halina, bosa i w samej tylko koszuli, trąc pięściami zaspane jeszcze oczy, podbiegła do niego.

- Czyś, ojczu, nie spał dzisiaj wcale?!
- Nie spałem, córeczko, jak widzisz. Złe czasy nastały, złe bardzo. Wczoraj posłaniec przybył od Lublina ze straszną wieścią, że Tatarzy idą ku nam.
- I co się stanie, ojczu?
- Cóż, będziemy się bronić. Da Bóg, przyjdzie nam książkę z odsieczą.
- A jeśli nie przyjdzie?
- To wtedy zginiemy.
- Czy musimy ginąć? Czy nie lepiej skryć się w puszczy za Wisłą, tatku? Tam nas nikt nie znajdzie.
- Widzisz, dziecko, ta ziemia, to miasto, ten gród, to wszystko nasza ojczyzna. Tu pogrzebane kości naszych dziadków, tu twoja spoczywa matka. Ale ta ziemia, to też ojczyzna tych, co przyjdą po nas. Jeśli tedy ją porzucimy, oddamy na łup, na splugawienie, cóż o nas kiedyś powiedzą?
- Nie masz nic świętszego od ziemi ojców — ciągnął dalej — i jeśli nawet umrzeć by ci przyszło, aby ją uratować, to pamiętaj, że trzeba umrzeć. Ta ziemia cię karmi, poi i odziewa. Syci zapachem kwiatów, dojrzewających zbóż, jesiennych mgieł, topniejących śniegów. Z niej ulepione twoje kości i w niej się schronisz, gdy zakończysz bieg żywota. Jakże jej tedy nie kochać, nie bronić? Jakże, córuchno?
- Halina słuchała słów ojcowych z powagą, ale usteczka jej drżały i widać było, iż całą siłą woli panuje nad sobą, żeby nie wybuchnąć szlochem. Po chwili, łamiącym się głosem zapytała:
- Ale ty, ojczu, nie zginiesz?
- Da Bóg, nie zginę, Halinko.
- Przygarnął ją do piersi. Przycisnął z całej siły, jakby chciał zdusić, a później uniósł do góry i serdecznie ucałował.
- No, uciekaj na posłanie, bo marzniesz!

* * *

Od samego rana ludzie miotali się po mieście, wylęknieni wieścią o Tatarach, która błyskawicznie rozniosła się wokół. W grodzie tymczasem sposobiono się do walki. Obchodzono wały sprawdzając, czy nie są gdzieś nadwyryżone. Przygotowywano sterty kamieni, belki, beki smoły...

Tak minął czas do południa. Ale gdy dzwony wybiły Anioł Pański, dostrzeżono czarniawe mrowie ludzkie na gościńcach wiodących do miasta. I na tym od Zawichostu i na tym od Opatowa. I na tym od Krakowa również.

Początkowo wszczął się tumult, bo mieszczenie sądzili, iż owo już zagony tatarskie. Wszelako rychło rozpoznano w tym mrowiu uciekinierów, którzy szli schronić się w Sandomierzu.

— Jezus, Maryja! — krzyknął Krępa. — Na nic moje rachuby! Tegom się nie spodziewał. Jeszcze naszych mieszczan można by wyżywić, ale ową czerń, co bieży nawet i stamtąd, gdzie Tatar by się nie zapędził?

Naraz usłyszał kroki licznych stóp za sobą. Odwrócił się i ujrzał, że oto mnisi dominikańscy z przeorem Sadokiem na czele kierują się ku wyjściu z grodu.

— Ojczy Sadoku, co czynisz? — zapytał kasztelan.

— Cóż, panie Piotrze. Spójrz, ilu teraz ludzi będziesz musiał zmieścić. Święty Jakub warowny, może go poganie nie wezmą. A wezmą, to cóż, wola Boska!

— Ojczy Sadoku, zastanów się jeszcze!

— Już się zastanowiłem. Będziecie tu mieli bardziej niż my potrzebujących opieki.

Na to Krępa się już nie odezwał, tylko patrzył długo na dwuszereg mnichów,

wspinających się wolno na Świętojakubskie Wzgórze, jakby żegnał ich w ten sposób.

Gdy masa ludzka wlała się w obwarowania miejskie, poczęto ją lokować w grodzie. Ale z powodu ogromnej ciżby i miejscowych, i przybyszów ledwo dziesiąta część się tam pomieściła. Reszta, miotając się w popłochu, szukała schronu

w miejscach bardziej warownych, za najbezpieczniejszy uznając w końcu kościół Narodzenia Panny Maryi, wystawiony z białego kamiennego ciosu na stromym wzgórzu, oddzielnym od reszty miasta przepaścistymi wąwozami.

Tak minęło dni kilka, podczas których co raz to przybywało uciekinierów. Wreszcie czatownik siedzący na jednej z wież zanikowych zadał w róg, obwieszczając zbliżanie się wojsk nieprzyjacielskich.

I rychło zaroilo się pod wałami od zbrojnych, pomykających na niewielkich, acz silnych konikach. Potok ludzki wpływał z okolicznych wąwozów, powietrzem niosła się wrzawa, nad którą górowały pojedyncze, przenikliwie okrzyki dowódców lub dźwięk kościanych gwizdków, ostro wibrujący w uszach.

Tatarzy, aczkolwiek pełni zapału, ochłodli nieco na widok potężnej warowni górującej nad okolicą. Nie zamierzali jednak rezygnować, licząc na zdobycie cennych łupów i mnogość niewolników po zajęciu miasta i grodu.

Toteż po chwilowym odpoczynku i odbyciu narad, u stóp wałów ukazał się sam naczelny wódz. Ubrany był w piękny, bogaty płaszcz z połyskliwej materii żółtej barwy, podbitej popielicowym futrem. Równie drogocenny kaftan, spodnie i buty dopełniały stroju. W rękę trzymał szpiczastą czapkę, którą przed chwilą zdjął z głowy. Po bokach miał tatarskich setników i ruskich kniaziów: Wasylkę włodzimierskiego oraz Romana i Lwa Daniłowiczów halickich.

Tych ostatnich Krępa znał, bo już spotykał ich ongi, jeżdżąc z poselstwem na Ruś. Oni także go poznali, bo naraz Roman ściągnął wodze, zamachał ręką i krzyknął:

— Witaj mi kasztelanie!

— Ja ciebie nie witam, boś nie jako druh przybył pod Sandomierz, ale jako wróg! — odkrzyknął na to Piotr Krępa.

Tatarzy i Rusini zatrzymali się naprzeciw niego.

— Nie masz racji, kasztelanie! — ciągnął Roman. — Jako druh tum przybył, chcąc ratować cię od śmierci! Spójrz,